POWIEŚĆ i NOWELA

ROK XXI WARSZAWA, DNIA 2 MARCA 1929 ROKU NR. 9

WŁODZIMIERZ PERZYŃSKI

22)

MECHANIZM ŻYCIA

Stefan zerwał się z krzesła i jak błędny patrzył na matkę. Pani Calewiczowa ruchem ręki zabroniła mu mówić.

— Czekaj. Ja już niedługo skończę. Byłam z mężem w Meranie, dopóki mój stan nie zaczął się ujawniać. Pomimo bardzo ciężkiego stanu Czarlińska kazała przewieść się do domu. Poprosiłam lekarzy u Bindera, żeby mi pomogli upozorować wyjazd do Warszawy, uprzedzając ich, że wyjeżdżam na poród, ale mój mąż nie powinien nic o tem wiedzieć, boby nim to zanadto wstrząsnęło. Wtedy przed przejazdem do Petersburga była w Warszawie twoja ciotka. Zamieszkałam u niej i w kilka tygodni po twojem przyjściu na świat wróciłam do Meranu. Mąż żył jeszcze dwa tygodnie... Byłam tak szczęśliwa, że mam ciebie, że jestem wolna, że skończyła się moja męka, że nie uświadamiałam sobie tych cierpień, które na mnie czekały. Z Czarlińskim widywaliśmy się rzadko, bałam się, żeby przez wzgląd na ciebie nie padł na mnie nawet cień podejrzenia. On postanowił rozejść się z żoną... Z początku nie mógł jej mówić o rozwodzie, bo uważano ją za umierającą. Potem, niespodziewanie zaczęła zdrowieć. Ale na wszystkie jego błagania odpowiadała stale — pocóż ci rozwód, kiedy ja niedługo umrę. Wtedy sobie na nowo życie urządzisz. — Ani sekundy nie byłabym się wahała, żeby zamieszkać z tym moim kochanym człowiekiem, gdyby nie to, że świat wymaga, żeby kobieta była konwencjonalnie moralna i, mając obowiązki względem dziecka, nie gorszyła ludzi. A zresztą nie mogliśmy oboje wiedzieć, czy nasz syn nie potępiłby nas za to. Twój ojciec umarł... Zaraził się od chorego szkarlatyną... Miał na imię Stefan. Największem dla niego szczęściem było, gdy cię mógł zobaczyć. Zamały byłeś, żeby go pamiętać!... Był śliczny, zdrowy, dorodny, mądry i uchodził za znakomitego lekarza. Pragnął, żebyś i ty był lekarzem. Jego żona żyje.

Stefan ukląkł przed matką i zaczął ją całować po rękach.

Na twarzy Calewiczowej, wzburzonej i całej we łzach, zaczynał już majaczyć zwykły jej wyraz spokojnej rezygnacji. Ujęła głowę syna i mówiła, patrząc mu w oczy.

— Widzisz... Tyle lat znosiłam najstraszniejsze męki, patrzałam, jak rozpaczasz, godzinami słuchałam, jak mówiłeś o twojej śmierci... Nigdy nie gorączkowałeś, nie kaszlałeś, wszyscy lekarze powtarzali ci, że jesteś zdrowy, a ty opętany swojem urojeniem nie chciałeś im wierzyć. Wmówiłeś w siebie dziedziczną gruźlicę i ja umierałam z trwogi, widząc, jak z jakimś fanatycznym uporem robiłeś wszystko, żeby się choroby nabawić. I poddawałam się tym wszystkim torturom, bo się bałam, żebyś mnie nie potępił.

— Tu nie o mnie chodzi! — wybuchnął Stefan. — Ale jakżeż mama mogła mnie tak nie znać. Ja przecież mamę zawsze uwielbiałem, a teraz za te wszystkie męki stokroć bardziej cenię mamę i kocham! I jeszcze więcej mamie powiem. Z całego serca, z najgłębszego przekonania! Miała mama prawo tak zrobić! Powinna była mama tak zrobić!

— Czekaj Stefku — odezwała się cicho pani Calewiczowa. — Muszę ci pokazać fotografję twojego ojca. To jest mój pierwszy dzień szczęśliwy od jego śmierci.

Zbliżyła się do komody, wysunęła dolną szufladę, zapchaną najrozmaitszemi rupieciami, i po chwili wydobyła z samego dna zwitek jakichś bezwartościowych koronek. Rozwinęła je i wydobyła fotografję i kilkanaście listów. W milczeniu podsunęła je Stefanowi.

— Nie, nie będę czytał — odparł Stefan wzruszonym głosem. — To były listy tylko do mamy. Nie do mnie.

— Jest tu i do ciebie dopisek.

Na jednym z listów było dopisane u dołu kartki większemi literami pod zakończeniem: — twój Stefan. — Pilnuj synku mamusi, żeby się nie martwiła i żeby ci nie pozwalała grymasić przy tranie.

— Miałeś wtedy dwa lata — dodała pani Calewiczowa.

Stefan odsunął list i przez łzy spojrzał na fotografję ojca. Poznał siebie. Te same zrośnięte brwi, ta sama budowa czoła, ten sam rysunek nosa i ust.

— Niech mi mama odda tę fotografję.

— Dobrze, dziecko.

I zawijając listy z powrotem w koronki, pani Calewiczowa dodała.

— Widzisz. Taką skrytkę obmyśliłam sobie. Gdyby jaka babina, myjąc mnie po śmierci, znalazła ten zwitek i zabrała, toby spaliła listy, bo cóżby jej z nich przyszło. A gdybyś ty porządkował rzeczy po mnie, tobyś także te koronczyny w piec rzucił i nawet by ci na myśl nie przyszło, żeby je rozwijać.

Stefan znów zaczął całować matkę po rękach.

— Wybacz mi te wszystkie męki, najdroższa moja. Nie moja wina, że żyłem w tym lęku przed śmiercią i przed chorobą, ale jaki ja byłem podły i słaby, że ciebie tak męczyłem! Zobaczysz, jak się

teraz zmienię. Już całe życie swoje poświęcę tylko tobie i medycynie.

— No, a twoja miła Krzysieńka?

— Ja potrafię zapanować nad miłością dla Krzysi. Ja chcę żyć tylko dla mamy! Chcę, żeby mama była nareszcie szczęśliwa.

Pani Calewiczowa popatrzyła z uśmiechem na syna.

— Znowu zaczynasz? ja będę wtedy dopiero szczęśliwa, gdy tobie będzie dobrze.

XI.

To, co odczuwał Witecki obserwując Krzysię, było jakby pobłażliwem zdumieniem. Oddawna już traktował córkę poważnie, jak dorosłego człowieka, ale teraz dopiero odkrywał w niej kobietę. Krzysia bardzo chytrze pozbyła się z domu matki i siostry. Od rana udawała, że ma tak szaloną ochotę na pójście do teatru, aż zaraziła tem Helę, zawczasu ją wyprawiła po bilety, ubrała się w strojną sukienkę i nagle przed samem wyjściem wpadła w desperację, że będzie musiała zostać w domu, żeby przepisywać dla ojca jakieś bardzo ważne akty, o których na śmierć zapomniała. Wszystkie te kłamstwa umiała podać z taką swobodą i wdziękiem i tak przymilnie wypytywała się ojca, czy nie możnaby tego przepisywania odłożyć, że pani Witecka, idąc do teatru, żeby się bilet nie marnował, nie domyślała się podstępu i w cudownym humorze stawiała Heli Krzysię, jako wzór sumiennego pojmowania obowiązków. Ponieważ wogóle Krzysia nie umiała udawać, ani kłamać, więc Witeckiego ubawił ten jej zwierzęcy instynkt zacierania śladów. Kiedy zostali sami, w ciągu dziesięciu minut potrafiła nadać mieszkaniu jakiś inny, jakby zalotny wygląd. Witecki mógł stwierdzić tylko to ogólne wrażenie i podziwiał nikłość sposobów, jakiemi Krzysia je wywołała. Tu przesunęła krzesło, tam przerzuciła poduszki na otomanie, postawiła jakieś kwiaty, rozsypała na stoliku cukierki, rozświetlając jeden pokój i ściemniając sąsiedni, ogarnęła mieszkanie w zaciszną a strojną i ciepłą całość. Nie wiadomo kiedy powietrze stało się wonne od zapachu delikatnych perfum, kobiecości i pomarańcz, jakby przez roztargnienie zostawionych w koszyku na krześle. Witecki przyglądał się z coraz większą uciechą, jak Krzysia otworzyła nienapoczętą butelkę koniaku, wlała połowę do jakiejś karafki i potrafiła butelkę tak ustawić, że była niewidoczna, a pod ręką. — I my się na to zawsze dajemy złapać — pomyślał z uśmiechem. Teraz dopiero zrozumiał, dlaczego Krzysia na to pierwsze przyjście Stefana postanowiła pozbyć się matki i siostry. Podświadomie chciała być jedyną samicą. Ojciec nie przeszkadzał, bo był z tego gatunku, który jej był potrzebny. I Witecki odrazu zsolidaryzował się z córką.

— Poco tu baby.

Bo tylko Krzysia była dla niego wcieleniem kobiety. Czujnej, przebiegłej, wabiącej i nastawionej ku obronie swojego samca. Coraz jaśniej rozumiał, że wejście Stefana w życie Krzysi stało się faktem nieodwołalnym. Wiedział już, że wszystkie protesty byłyby bezsilne. Opór z jego strony, albo ze strony matki pchnąłby tylko Krzysię w stosunek ze Stefanem bez względu na formę. I czując wobec tego całą swoją bezsilność, ufał tylko jej instynktowi, w który głęboko wierzył. Pozatem, doznawał wrażenia, że ją coraz bardziej kochał, mimo iż dokładnie zdawał sobie sprawę, że narazie istniał dla córki tylko jako pewien rodzaj uzupełnienia szczęścia. Sam ograniczył więc swoją rolę do oczekiwania sposobności, w których mógłby być potrzebny.

Krzysia zapowiedziała wizytę Stefana na godzinę ósmą. Tymczasem dochodziła dziewiąta, a jego jeszcze nie było.

Witecki podziwiał naturalność, z jaką Krzysia udawała spokój. Bardzo starannie robiła notatki z rozłożonych przed nią skryptów i mogło się zdawać, że tylko to ją całkowicie pochłania. Kilka razy zauważył jednakże, jak ukradkowo spoglądała na zegar. I mimo zniecierpliwienia zachwycał się jej taktyką. Opancerzyła się przeciwko całemu światu i nie dopuszczała do żadnych uwag. Spóźnia się Stefan? Tak być powinno. Wszystko w porządku. A jeśliby miało dojść z tego powodu do wyjaśnień, to tylko między nimi dwojgiem. Pozatem, nikt nie miał prawa się wtrącać.

(D. c. n.).

Notatki literackie

LUIGI PIRANDELLO — NOWELISTA

Znakomity dramaturg włoski Luigi Pirandello napisał 365 nowel: wypełnił niemi okrągły rok czytelniczy. Jest to dorobek pisarski bardzo znaczny. Ilościowo i jakościowo nastręcza wiele refleksji. Pirandello porusza przeważnie tematy smutne. Jest to tem dziwniejsze, że niebo włoskie śmieje się do ludzi, zwierząt, przedmiotów. Otoczenie italskie uspasabia raczej pogodnie, optymistycznie. Pirandello zawsze znajdzie jakiś przykry, złośliwy cień, jakąś smutną, tragiczną rozbieżność pojęć i życia. Ludzie w jego wizji nie grzeszą zbytkiem równowagi duchowej. Dzieje się to tak wśród ludu, jak i wśród markizów, artystów, intellektualistów.

Nowele Pirandella rozrzewniają niekiedy. Takie uczucia budzi „pierwsza noc poślubna" ubogiego dozorcy cmentarza, wdowca. Dopiero co wziął ślub z młodą, hożą dziewczyną. Pamięta jednak przed rokiem zmarłą żonę i w duchu korzy się przed jej wspomnieniem. Nie lepiej czuje się nowozaślubiona pani dozorczyni. Ona pamięta swego dawnego narzeczonego też nieboszczyka. Idą więc u mogił swoich ukochanych, najdroższych spędzić pierwszą noc poślubną... Na cmentarzu cicho szumią pinje, w oddali mieni się fioletem morze. Nikt nie jest uradowany uroczystością zaślubin. Płacze dozorca, jego młoda małżonka, jej matka, różne kumy. Czyż tak istotnie wyglądają weselne uroczystości? Pirandello każe nam wierzyć, że właśnie tak smutno, płacząco, beznadziejnie przedstawia się życie...



Motyw ten pokazuje on w różnych warjantach. Stale powraca jednak do niezadowolenia z rzeczywistości. Nowelistyka Pirandella nie może więc liczyć i na szersze koło czytelników. Nawet Leopardi nie oddziaływuje już pesymizmem. Zdrowe, męskie uznanie rzeczywistości i przyjęć jej w całej rozciągłości należy do tych tonów, które uspasabiają podniecająco do walki o byt i zapewniają powodzenie tak literaturze, jak i ludziom. Współczesność wszędzie szuka podniety, optymizmu, wiary.

Nowele L. Pirandella przyswoiła mowie naszej p. Franciszka Szyffmanówna.

SOPHUS MICHAËLIS. Przełożyła z duńskiego Zofja Gulińska

WULKAN

(NOWELA)

I.

Na jednej z wysp śród Oceanu Spokojnego krater płonie dzień i noc, jak obnażone ogniste serce. Lawa tworzy szeroką i czarną skorupę dokoła tej olbrzymiej rany na piersiach ziemi, promieniującej czerwonym odblaskiem szeroko w dal.

Jakiemi siłami podtrzymywane jest to ognisko? — zapytuje podróżny, spalający aż do niepamięci swój własny, mały pożar w tym wszystko pożerającym ogniu. Żarzący się Kilauea jest drogowskazem dla ptaków morskich, przelatujących w nocy nad oceanem. Chmary ciem nocnych osuwają się bezwładnie w gorejące tchnienie wulkanu.

Hawai połyskuje miękko, jak aksamit, od jasno-zielonej roślinności podzwrotnikowej. Palmy kokosowe wznoszą się ku niebu, niby rakiety na tle długich niebieskawych pasm gór wulkanicznych. Pomiędzy tysiącletniemi drzewami Banyan paruje szare powietrze cieplarniane, że perlą się od niego niezliczone korzenie nadziemne, podpierające olbrzymią koronę. Soczysto - zielone rośliny Trappa natans pływają jak ryby w letniej wodzie zatoki Hilo.

Utorowano na przestrzeni sześciu mil drogę aż do samego wulkanu. Droga jest ciemno-szara, wyłożona płytami lawy czy blokami tufu. Z początku przedziera się przez jasno-zielony gąszcz trzciny cukrowej. Po tych polach chodzą tubylcy z plemienia Kanaków, w jasno-niebieskich perkalach o kwadratowym deseniu, w kapeluszach zawsze przystrojonych wieńcami z jasno-czerwonych róż polnych czy niebieskich olbrzymich fjołków. Oparte na cienkich drążkach, ciągną się przez pola wodociągi, widać wioski japońskie z drewnianemi, wybielonemi wapnem domkami, karczmą i kilka sklepów. Budowle te sterczą na palach w tej bujnej plantacji trzciny cukrowej, z którą łączą się tu i owdzie biało kwitnące drzewa kawowe.

Następnie droga wznosi się ku górze poprzez dziewiczy las paproci. Nie zarośli ale drzew. Przyroda wygląda tu jako jedna olbrzymia, dziko rosnąca cieplarnia na otwartem powietrzu. Młode liście paproci rozwijają się ni to ogromne zielono-bronzowe laski biskupie z brunatnem, lepkiem owłosieniem ochronnem, ażeby żuki nie pożarły najdelikatniejszych pędów; gdy kłębuszki liści, wyrastających po obu stronach łodygi, rozwiną się niby dwurząd żeber, wygląda to, jakgdyby roślinny Oktopus wywijał swemi ramionami, zaopatrzonemi w macki spiralne. Pachnie tu puszczą dziewiczą i przedpotopową epoką. Pełzające widłaki, paprocie i skrzypy — to przecież las z epoki węglowej — a tu oto rośnie sobie splątany bujnie i prazielony nad porowatemi grotami tufowemi wulkanu. Wysoko ponad las paproci wystrzelają szare i wysmukłe eukaliptusy; duszą się wzajemnie w objęciach i pasożytują jedne na drugich, gorączkowo kwitnące, płomienne kwiaty tropikalne: wielkie purpurowe Camy, olbrzymie fjoletowe kwiaty męczennicy, wielkie, jaskrawo-żółte kielichy bielunia. Kwiaty te są jak głośny krzyk w zielonym borze. Owoce ni to kolczaste jaszczurki, dziwotwory w kształcie szczypawic i wężów.

A pod tem wszystkiem grzeje wulkan niby piec rozpalony.

Również i Volcano House nad brzegiem starego krateru otoczony jest paprociami. Pas dzikich kalli przed oknami hotelu smutnie świeci w zmroku. Dzikie róże spuszczają się po stokach krateru, a z niezliczonych szczelin wytryskuje biała para, cuchnąca siarką, ścieląc się niby dym po ziemi. Z innych stron ogradzają stary o kilkometrowej szerokości krater, strome, szaro-zielone ściany. Ale od Volcano House prowadzi zygzakowata ścieżka wdół między lykopodja i paprocie, które stopniowo kurczą się, ot i stają się wreszcie maleńkie; białe od popiołu, pełzają po dnie krateru. Przez szeroko rozwartą szczelinę leży przerzucony lichy mostek drewniany, kończący się na samej już szaro-czarnej lawie, która leży stężała nakształt kaszy, mieszanej z wściekłością, skręconej w wiry, w sploty jelitowe i węzły, to znów wygląda jak sieć pajęcza, lub jak skręcone grube powrozy lub wydęte fantastyczne pęcherze. Olbrzymi to kocioł warzonej kaszy z lawy, która się już na zawsze przestała gotować.

Droga do czynnego jeszcze krateru prowadzi na przestrzeni pół-kilometrowej poprzez wygasły krater; oznaczona jest blokami, pomalowanemi wapnem na biało, ażeby można ją było rozeznać w zmroku. Tu już niewidzialny piec silniej dymi i kopci. Ciężki, siny dym zdradza miejsce, w którem się znajduje sam krater. Na prawo od tej chmury dymu widnieje w zeskorupiałej lawie długa, żółta jak siarka blizna, która jakgdyby nie zamknęła się jeszcze zupełnie. Pozatem jednak można całkiem bezpiecznie zbliżyć się do wulkanu — podobnie jak do dzikiego zwierza, które łańcuchem przykuto do legowiska. Trzeba tylko podchodzić wraz z wiatrem, żeby się nie udusić od żaru, bijącego z gardzieli krateru.

Uszedłszy jeszcze kawałek pod górę, turysta znajduje się nagle nad samym brzegiem krateru i może patrzeć w jego olbrzymi kocioł.

Tak, jest to naprawdę kocioł, w którym się gotuje, lecz nie woda, jeno bazalt i tracyt w ognistych płynnych rzekach; retorta, gdzie góry stapiają się, polewka ognista, której piana sama przemienia się w kamienie. Ogień ten jest tak silny, że może zuchwale rozpryskiwać swój czerwony żar w promieniach południowego słońca, bez obawy zblednięcia. Z sinego jak stal łożyska lawy, połyskującej tu i owdzie niby żywem srebrem, bryzgają, wyskakują, pluszczą i bulgocą, wznoszą się i rozpryskują, biorąc początek z tysiąca bijących źródełek, kaskady świecącego czerwonego ognia, opadające znów z powrotem w ognistych kroplach. Możnaby pomyśleć, że to sam Mefisto nurza się w swej kąpieli i w szale rozżarzonej do białości rozkoszy wywija połami swego płaszcza, przemieniając je w płachty ognia, wysoko aż pod samą ścianę krateru. W tej gęsto płynącej lawie prąd walczy z prądem. Ciężkie, wzdęte masy, ni to cielsko mastodonta, spływają ku brzegom krateru, zalewają inne, będące już tam warstwy, obramowując je lamą płynnego ognia. War w tem kotle, gdzie się gasi bazalt, tak się pieni i bryzga, że słychać go już zdaleka, nim jeszcze oko ujrzy samo gotowanie się.

Gdy jednak dzień się skończy i nastaje noc, Kilauea przemienia się w gorejącą fantastyczną bajkę. Chmury kłębią się płomienieniejąc nad kraterem i rzucają blask hen na wyspę i morze. Wszystko, co ma oczy, kieruje je ku promiennej olśniewającej fantasmagorji. Na tarasach Volcano House można czytać w tem świetle. Białe kwiaty kalli połyskują jakgdyby od łez, przelewanych z żalu, że nie mogą towarzyszyć tym wszystkim, którzy wędrują lub jadą do wulkanu. Ściany krateru są złote od bijącej na nie łuny. Ogień tryumfująco żywie w głębinie. Wszystko jest pieniącym się, bryzgającym, rozpryskującym się i syczącym ogniem. Każda fala kipieli opada w tysiącznych skrach. Wszystkie wiry i kry czerwono żarzącej się lawy obrzeżone są białym ogniem. Ogniste łabędzie wynurzają się raz po raz z żaru, podnoszą płomienieniejące szyje, zapadają się w sobie i znów na nowo powstają. Żółta jak siarka blizna w czarnem dnie lawy otwiera się nocną porą i wysyła z siebie kłębiący się korowód fantastycznych dymów, taniec czarownic, kierujących się ku ognisku, ażeby się w nie rzucić. A za wiatrem ciągną, wsysane przez ogień, roje owadów, ginące w nim niby białe iskierki.

II.

Co wieczór młoda Amerykanka konno przyjeżdżała nad krater i najpóźniej ze wszystkich wracała z koniem i przodownikiem do Volcano House. Co wieczór wlepiała wzrok w żarem buchający kocioł. Ustawiano jej krzesełko polowe w różnych miejscach, zależnie od kierunku wiatru. Urządzała się tu jak przy jakimś kominku, gdzie najlepsze miejsce zostało dla niej zarezerwowane. Najchętniejby tu widziała wygodny amerykański bujak, ażeby jaknajprzyjemniej rozkoszować się wspaniałym widokiem.

Jak dziczka siedziała tu i patrzała w ogień. Manja ognia, tak zwykła w dzieciństwie, obudziła się w niej snadź na nowo. Mając przed oczyma taki widok, cały świat widziała stojący w płomieniach. Najczęściej była zdumiona tem, że wrażenie było tak bezpośrednio palące w swej gwałtowności, że ogień jej własnego, przyniesionego tu cierpienia zdawał się gasnąć całkowicie. Przybyła tu z pożerającym jej duszę żalem, czuła się — i oczywiście słusznie — najhaniebniej oszukaną i zdradzoną kobietą na świecie! A gdy tak sobie tu siedziała przed tem kotłem, gdzie gaszono bazalt, dziwnem jej się zdawało, że ani jedna iskierka nie pozostawała z jej własnego pożaru, z jej starej, piastowanej w sobie zgryzoty. To ją uczyniło upartą. Wiedziała wszak, co przecierpiała. Postanowiła sobie tedy nie opuścić wcześniej tego demonicznego wulkanu, zanim — w jego obliczu — nie poczuje w sobie na nowo wybuchu dawnego bólu.

Gdy późno w noc odrywała się od wulkanu, znajdował się tam zawsze jeszcze jeden widz, mały, okrągły, niepozorny człowieczek. Siedział zazwyczaj na bloku lawy opodal, owinięty w gruby płaszcz filcowy i jak zahipnotyzowany wpatrywał się w ogień przez swoje wielkie, złotem oprawne okulary. Był zanadto pospolity, aby amerykańska piękność miała darzyć go swem spojrzeniem. Przypomniała sobie jednak jak przez mgłę te złote okulary któregoś dnia w hallu hotelowym. Miała właśnie wyjść i stojąc zarzucała na siebie boa, gdy naraz posłyszała za sobą jakiś brzęk i ujrzała kawałki szkła, rozpryskującego się na podłodze. On jednak nie powiedział nawet: przepraszam, mimo że, dalibóg, nie powinno się stać takiej pani w drodze ze swemi szkłami, gdy ona się ubiera. Rzecz prosta, że był Niemcem.

Turyści przybywali i odchodzili od wulkanu. Ich dwoje jednak ciągle jeszcze siedziało. Wulkan wreszcie zbliżył ich ku sobie. Oczy ich spotykały się, gdy odwracali twarze, by je ochłodzić. Wreszcie gadatliwy Niemiec zaczął oczywiście przemawiać o wulkanie i o wszystkiem, co jego jest. O śmiesznych globtroterach, którzy nie mają respektu dla cudów natury i strojąc głupie żarty i dowcipy, wyrażają ubolewanie, że nie mogą zbliżyć się tak dalece do krateru, by móc weń splunąć. Większość z nich najbardziej jest przejęta osmalaniem widokówek w szczelinach lawy. Jedna z pań zapaliła swoją parasolkę, a jakaś polska hrabina pozwoliła się stopić lakierowi na swych obcasach, utknąwszy nogą w jakiejś rozpadlince, poczem podarowała pantofle dwom ze swych wielbicieli; zbieracze dźwigali ciężkie bloki, wielkie jak głowy kapusty.

Dostojna Amerykanka pozwoliła mu mówić, nie zaszczycając go żadną odpowiedzią. On był z pewnością przyzwyczajony do tego, że gdy nikt inny nie chciał go słuchać, gadał do samego wulkanu. Znał jego historję i opowiadał o bogini Pele, która w nim mieszka i czesze swe połyskujące czarne włosy aż hen daleko na całe mile na wyspie: „Może je pani wziąć w rękę, tu, gdzie pani siedzi", — mówił, chwytając coś ręką nad łożyskiem lawy. Ona z zainteresowaniem przyglądała się kruchej jak szkło, czarnej przędzy, którą złożył do jej ręki. — To jest piana z lawy, — dodał pouczająco, — którą wiatr żenie przed siebie w swym locie.

— Pan jest zapewne przewodnikiem przy wulkanie, — rzekła i przez sekundę spojrzała na niego.

Mały, ubrany w płaszcz człowieczek, uniósł kapelusza.

— Do usług, tak; ale nie za opłatą. Nazywam się Brenneisen, profesor Brenneisen. Pani zupełnie nic o mnie nie wie. A ja tylko troszkę więcej o pani. Pani jest panią Wonderdale, panią Alicją Wonderdale z Kansas City. Przybyła tu pani przez Denver i Los Angeles. Niech się pani nie boi. Nie jestem detektywem. To tylko kufry pani opowiadają to każdemu, kto na nie spojrzy. A ja jestem przyzwyczajony do tego, by *widzieć*. Nie ma pani jeszcze dwudziestu pięciu lat. Nosi pani numer szósty rękawiczek, a numer trzeci obuwia. — Jest pani prawdziwą pięknością amerykańską. Szczęśliwą pani nie jest. A teraz zakochała się pani tutaj.

— Co takiego? Zakochała? — spytała Amerykanka z szeroko rozwartemi ze zdziwienia oczami.

— Ba, cóż znaczy pożar Rzymu wobec tego tu? Jesteśmy tu w szczęśliwej godzinie, proszę pani. Kilauea ma teraz wspaniały okres. Czy pani wie, że sławni na cały świat wulkanolodzy oblegali ten krater latami i dniami całemi, nie doczekawszy się niczego innego, jak tylko pojedyńczego wytrysku czerwonej wody, którą my teraz oto w tej chwili widzimy wzbijającą się i opadającą w tysiącznych kaskadach? Można wprost skoczyć tam z zachwytu. Empedokles był skończonym osłem, że skoczył do Etny. Niech pani sobie wyobrazi, co to za rozkosz, wlecieć jak mól prosto do tego gorejącego nieba. Czy pani złożyła już swoją ofiarę?

— Moją ofiarę?

(Dok. nast.).